Co słychać



Nr 30. 17. VIII. 1942. 6d.

Co Słychać

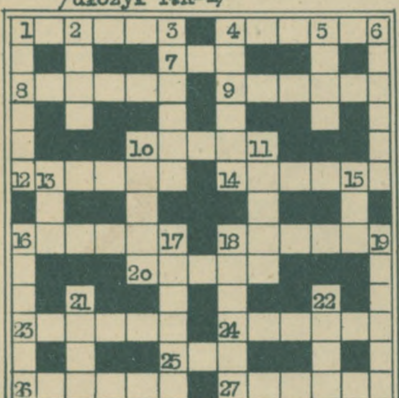
CENA NUMERU 6d. PRENUMERATA KWARTALNIE 6/-
REDAKCJA I ADMINISTRACJA :
43, CHARLOTTE SQUARE, EDINBURGH.

w dzisiejszym numerze

Okładka : LONDYN W LECIE 1942.

Krzyżówka

/ułożył T.K-i/

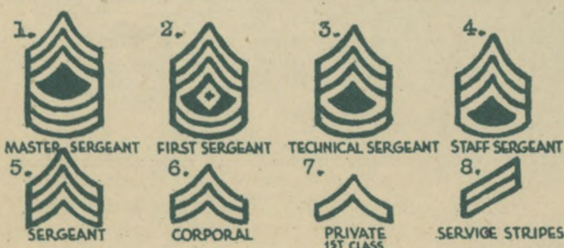


ZNACZENIE WYRAZOW:

POZIOME: 1/część, 4/nieujawniony podpis, 7/roślina uprawna, 8/postać z Krzyżaków, 9/część garderoby, 10/szereg tonów, 12/miasto polskie, 14/"przybyć" w języku angielskim, 16/zawód, 18/mianowania, 2o/taniec, 23/przyroda, 24/weranda, 25/miara długości, 26/ruiny, zmarnowanie, 27/świstek papieru.

PIONOWE: 1/Legendarna postać polska, 2/wykopy; 3/półwysep, 4/stolica państwa azjatyckiego, 5/część kościoła, 6/owady, 1o/ustawy /wspak/, 11/rzeka na Bałkanach, 13/inicjały mocarstwa, 15/zaimek łaciński, 16/opera, 17/wyglądnij, spojrzyj, 18/ mieszkanie ptaków, zwierząt /wspak/, 19/poprawa błędów, 21/zbiorowisko wody, 22/umowa urzędowa.

TERMIN ROZWIAZANIA DO DNIA 1.WRZESNIA 1942.

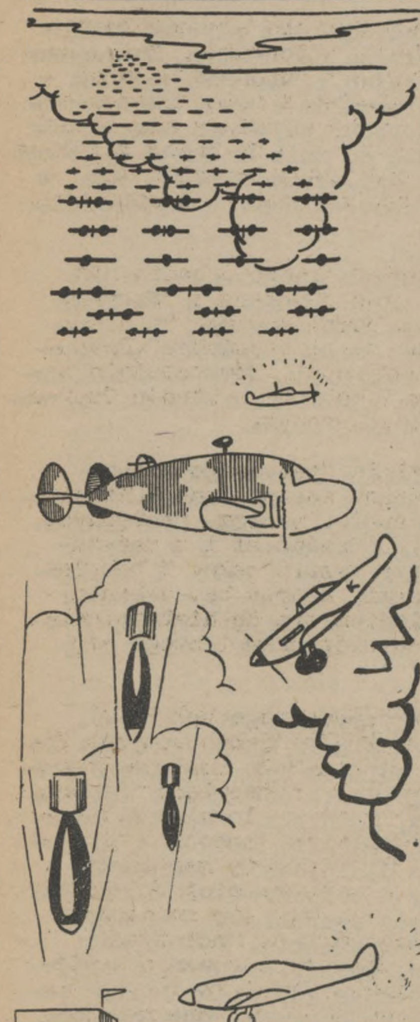


OZNAKI STOPNI WOJSKOWYCH U.S.A.

Odpowiedniki polskie: 1.chorąży, 2.st.sierżant, 3.st.majster wojskowy, 4.sierżant, 5.plutonowy, 6.kapral 7.strzelec 1.klasy, 8.oznaki za lata służby.

ciąg dalszy str.709.

Jak było w Pearl-Harbour



Japoński jednoczesny atak na amerykańskie bazy na Oceanie Spokojnym i na posiadłości brytyjskie na Dalekim Wschodzie,otworzył nowy rozdział w dziejach obecnej wojny. Straty zadane Stanom Zjednoczonym były istotnie ogromne. Zaskoczenie było całkowite. Nie wolno zapominać o tym, że w chwili gdy japońskie samoloty bombardowały bazy na Hawajach,równocześnie japoński ambasador zapewniał w Waszyngtonie o pokojowych intencjach swego rządu. Napaść japońska była wykonana na podstawie szczegółów wypracowanych od dawna. Wzorów zdradzieckiej napaści trzeba szukać nie tylko w niemieckich poczynaniach podczas inwazji Norwegii czy Holandii i Belgii. Trzeba może jej raczej szukać w doktrynie, która każe wierzyć ludziom, że cel uświęca wszelkie środki, nawet najpodlejsze, nawet najgorsze. O znaczeniu bombardowania Pearl Harbour pisano już wiele. Dzisiaj streszczamy bombardowanie,oglądane niejako od środka, oczyma szarego człowieka, który patrzył na zniszczenie, który widział spustoszenie spowodowane przez japońskie samoloty na Hawajach. Jest to streszczenie książki, której autorem jest BLAKE CLARKE. Książka to bezpretensjonalny ale i bezpośredni opis tego wszystkiego co zaszło podczas tragicznego poranka grudniowego,gdy Japończycy zaatakowali najsilniejszą bazę amerykańską na Oceanie Spokojnym. Są to wiadomości " z pierwszej ręki".

Tragiczny w dziejach Ameryki dzień przypadał w niedzielę. Poranek wstał jasny, pogodny, słoneczny. Pod wieczór 3.000 ludzi zabitych, wiele samolotów amerykańskich znisz-

czonych, okrętów ciężko uszkodzonych. Krótko mówiąc "większe szkody zdziałane niż je poniosła flota Stanów Zjednoczonych w ciągu całej wojny światowej".

Siedzieliśmy przy śniadaniu kiedy dał się słyszeć łoskot głuchy, który braliśmy za artylerię nadbrzeżną. Tymczasem nasz boy przybiegł z kuchni wołając : "Mnóstwo samolot w powietrzu". U progu domku obserwowałem z moim towarzyszem eskadrę samolotów. Nad Pearl Harbour pojawiały się obłoki dymu - "to dobrze" - zwrócił się do mnie Mr Frear z którym razem mieszkałem - "powinniśmy być przygotowani". Ale w tej samej chwili wpadł do domu sąsiad nasz z wiadomością, że Japończycy bombardują Oahu.

Nie chcieliśmy wierzyć dopóki przez włączone radio nie zabrzmiał spokojny, metaliczny głos speakera : "Wszyscy muszą zachować spokój, Oahu jest bombardowane. Tu niema żartów. Na samolotach rozpoznano znaki japońskie".Poznałem głos naczelnego dyrektora rozgłośni. Równocześnie zajechał jakiś samochód przed dom i kobieta w stroju Czerwonego Krzyża wywołała nas do pomocy rannym.

Cały ten dzień spędziłem w oddziale Czerwonego Krzyża przewożąc ludność cywilną z obszaru zaatakowanego.Widziałem więc na własne oczy co się stało. W ciągu następnych dni rozmawiałem z kim się dało. Z dowódcami i z marynarzami. Z rannymi i z tymi, którzy wyszli cało. Z bohaterami i z tymi cichymi pracownikami, którzy bez wahania odpowiedzieli na wezwanie stawieniem się do niebezpiecznej i eksponowanej pracy. Oto co widziałem i czego się dowiedziałem :

Właściwym, głównym celem nalotu japońskiego był Pearl Harbour, największa baza morska Stanów Zjednoczonych. Zanim jednak bombardowanie tego obiektu było możliwe Japończycy musieli unieszkodliwić lotniska stanowiące istotną i integralną część obrony bazy. Lotniska lotnictwa lądowego Wheeler i Mickam, lotnisko morskie Kaneohe i niedokończona jeszcze baza lotnicza dla piechoty marynarki Ewa.Wszystkie te stacje leżały z bezpośredniej bliskości samego Pearl Harbour. Japończycy starali się zniszczyć na ziemi wszystkie samoloty amerykańskie. Nadlatywali równocześnie z dwóch kierunków. Sposób atakowania każdego lotniska był identyczny. Podczas gdy nisko lecące samoloty zrzucały celowane bomby na hangary, inne maszyny ostrzeliwały samoloty stojące na ziemi pociskami zapalającymi. Najlepszym dowodem jak zupełne było zaskoczenie, jest wydarzenie, które opowiadał mi dowódca morskiej bazy powietrznej. Był właśnie przy śniadaniu kiedy usłyszał

nadlatujące samoloty. Wyglądając przez okno,zauważył trzy grupy po trzy samoloty, które lecąc nisko skręcały na prawo tuż ku wyjściu do zatoki. Oficer aż zaklął widząc, że samoloty skręcają na prawo ,co było stanowczo zakazane. Dopiero gdy jego syn zawołał, że widzi czerwone koła na skrzydłach wtedy zrozumiał, że to nalot nieprzyjacielski i zarazem dał pierwszy znak alarmowy pędząc swym samochodem do dowództwa bazy.

Japońskie samoloty koloru żółto-musztardowego leciały teraz nisko, jeden za drugim, nie wyżej niż 15 metrów ponad samolotami zawodowanymi w zatoce. O 100 metrów dalej 2 łodzie pełne młodych lotników dowoziły załogi do wodnopłatowców. Serie japońskich pocisków z karabinów maszynowych wywołały pióropusze wody, ale zarazem zapaliły samoloty i łodzie. Niektórzy tylko z lotników ocaleli. Tymczasem piloci japońscy dolecieli do końca zatoki, tam zawrócili i ponownie przelecieli nad uszykowanemi samolotami. Nalot trwał 15 do 2o minut, w ciągu których załogi amerykańskie zdołały powydobywać karabiny maszynowe z niektórych palących się nawet samolotów i skierować je przeciwko nieprzyjacielowi. Ale Japończycy byli niemalże bezkarni. Po 20 minutach przerwy napastnicy powrócili. Ogromna bomba zrzucona na jeden hangar wywołała pożar. Teraz jednak przeciwko napastnikom zerwało się kilka myśliwców. Dwa japońskie samoloty runęły do wody. Reszta poleciała w stronę bazy morskiej Ewa. Pierwsza fala atakujących przeszła zupełnie bezkarnie nad samolotami amerykańskimi. Także i druga nie spotkała się jeszcze z odpowiedzią, bo załogi przedewszystkim starały się ratować samoloty od grożącego pożaru wskutek japońskich pocisków zapalających. Widziało się jednak przykłady prawdziwego bohaterstwa. W bazie tej były specjalne wózki jednoosobowe do przeciągania samolotów. W środku pierwszej fali nalatujących Japończyków kierowca Shaw skoczył do swego wozu i zdołał przeciągnąć pod ogniem nieprzyjacielskim trzy samoloty z płonącej części lotniska. Przerwał swoją pracę dopiero wtedy,kiedy już podczas trzeciej fazy nalotu przestrzelono mu opony samochodu.

W czasie nalotu jeden z oficerów zawołał do sierżanta mechanika,aby się ukrył. Mechanik nie chciał przerwać rozpoczętego właśnie ładowania bomb do samolotu - "Mam 50 lat niech się młodsi chowają", - zawołał w odpowiedzi.

Porucznicy Welch i Taylor siedzieli w chwili rozpoczęcia ataku w kasynie na lotnisku Wheeler. Na widok nurkujących bombowców, które zaatakowały hangar z amunicją obaj ofi-

cerowie poderwali się natychmiast i pognali samochodem z szybkością 160 km/godz. do swych maszyn.

Lotnicy dopadli swoich maszyn myśliwskich i wystartowali. Kiedy po chwili obaj lądowali wskutek wyczerpania się paliwa,każdy z nich już miał na swoim koncie po trzy samoloty japońskie zestrzelone. Ale i sami nie wyszli bez szwanku. Przedewszystkim zaciął się jeden z karabinów maszynowych Welch'a. Taylor był ranny w ramię i nogę. Zanim zacięcie zdołano usunąć, zanim opatrzono rany pilota, nadleciała nowa fala 15 japońskich bombowców. Mimo zakazu lekarza Taylor wystartował ponownie. Równocześnie z nim poszedł do akcji Welch. W powietrzu Japończycy wkrótce byli na ogonie Taylora, jego przyjaciel, który był za nimi zanurkował ryzykownie, atakując najniebezpieczniejszy samolot japoński. Ogonowy strzelec bombowca japońskiego zapakował Welch'owi serię w silnik. Pociski uszkodziły śmigło i sam motor. Ale Amerykanin zanim jeszcze wylądował zestrzelił ten bombowiec japoński i jeszcze jeden samolot, który mu się nawinął przy przymusowym lądowaniu na uszkodzonej maszynie. Taylor wyszedł bez szwanku.

Lotnicy ci nie walczyli jednak sami.Porucznik Sambers na czele czterech maszyn wyszedł na 2.000 metrów i stamtąd dostrzegł grupę sześciu japońskich bombowców atakujących lotnisko. Japończycy na widok nadlatujących myśliwców umknęli, ale nie udało im się,bo jedna maszyna runęła do morza. Za drugim bombowcem japońskim zapędził się por.Sterling z tej samej eskadry. Na jego ogonie leciał atakując go,inny bombowiec japoński, za nim wreszcie dowódca eskadry Sambers. Cztery maszyny,ostrzeliwując się gwałtownie,zanurkowały ostro i trzy w płomieniach runęły w morze. Wyratowała się tylko czwarta - pilota Sambersa. Takich epizodów walk powietrznych obserwowała ludność bez liku.

Ponad polami ananasowymi Wahiawa tysiące ludzi, zarówno stałych mieszkańców, jak i wyewakuowanych z okolic lotniska Hickam obserwowało pojedynek powietrzny por. Rasmussena z jakimś nurkującym bombowcem japońskim. Rasmussen dopędził Japończyka i ostrzelał go pociskami smugowymi. W oczach zebranych na ziemi tysięcy,napastniczy samolot runął w płomieniach na ziemię. Kiedy Rasmussen wylądował okazało się, że ma ster odstrzelony, aparat radiowy strzaskany a kadłub samolotu przestrzelony jak sito.

Pierwsza fala bombowców, która nadeszła nad lotnisko

Hickam wybrała jako swój cel długi szereg samolotów, ustawionych przed hangarami. Niedbając na pociski nieprzyjacielskich CKM'ów obsługa lotniska podczas samego nalotu usiłowała rozproszyć samoloty ustawione na lądowisku. Dzięki temu sporo maszyn uratowano. Druga i trzecia fala bombowców nieprzyjacielskich obrzuciła ciężkimi bombami najgęściej zabudowaną część lotniska. Obserwatorom bombardowania wydawało się, że przez dobrą minutę od chwili gdy bomba uderzyła w ziemię,wszystko pozostało bez ruchu. Potem **hangary i budynki uniosły** się w powietrze i tam rozleciały się dosłownie w drobiazgi. Następna **fala bom**bowców spotkała już obronę przeciwlotniczą na ziemi w pełni zorganizowaną. To też spora ilość samolotów japońskich została zestrzelona. Do bombowca B-18,stojącego przed hangarem,skoczył jeden z lotników amerykańskich i począł ostrzeliwać z CKM.ów nadlatujących Japończyków. Jeden z pilotów japońskich zanurkował nad tą maszyną i zapalił ją serią swoich pocisków. Samotny lotnik nie próbował nawet wyratować się z płonącego bombowca. Wtedy gdy płomienie wydobywały się z kabiny strzeleckiej widać jeszcze było smugowe pociski z CKM'ów, którymi ostrzeliwał Japończyków.

Napastnicy nie ograniczyli się jednak do ostrzeliwania i bombardowania tylko obiektów wojskowych. Znaleźli czas na polowanie na gromady a nawet na poszczególnych cywilnych ludzi, znajdywali czas i amunicję na uganianie się za samochodami osobowymi i ciężarowymi. Nie oszczędzano przytem dzieci,spokojnie bawiących się przed domami.Przecież wszystko to co dotąd opisano było dopiero wstępem. Atak na Pearl Harbour trwał od godz.7.55 do godz.9.15. Przypuszczalnie brało w nim udział 150 samolotów japońskich. Samolotów torpedujących, bombowców nurkujących, samolotów bombardujących z wysokiego pułapu i myśliwców towarzyszących. Na szerokich wodach bazy morskiej były zakotwiczone pancerniki, krążowniki, kontrtorpedowce, stawiacze min, słowem wszystkie typy okrętów,jakimi dysponuje marynarka Stanów Zjednoczonych. Wydaje się, że każdy z japońskich samolotów,biorących udział w nalocie miał ustalony zgóry obiekt swego ataku. Bo kiedy nadleciały nad zatokę, samoloty rozdzieliły się i każdy atakował jeden tylko obiekt.

Duże bombowce,lecące na wysokości około 4.000 metrów, skoncentrowały swoje bomby na pancerniku "Arizona". Jedna z pierwszych bomb ugodziła w komin, druga w wieżę okrętu. Równocześnie samoloty torpedujące trafiły pancernik swymi torpedami w część przednią. Skutki trafienia były okropne. Olbrzymie kawały stali i części sprzętu

okrętowego wyleciały w powietrze. Okręt stanął w płomieniach. W jednej z wież artyleryjskich było 20 ludzi. Pokazały się płomienie, dym zaczął ich dusić. Powstała chwila paniki. Ale na rozkaz: "Spokój" - wszystko ucichło. Jeden z marynarzy miał latarkę elektryczną i przy jej słabym świetle odnaleźli w duszącym dymie wyjście. Długo trwało otwieranie klapy w wieży. Załoga czekała spokojnie w dymie i płomieniach. Kiedy wreszcie otworzono klapę wyjściową,ukazał się przedziwny widok. Cała przednia część okrętu stanowiła morze płomieni i porozbijanego, porozrywanego metalu. Pełno rannych i zabitych na pokładzie. Lżej ranni i tacy, którzy wyszli bez szwanku, próbowali ratować się skokiem do wody. Samoloty japońskie latały nisko nad okrętem ostrzeliwując pojedyńczych marynarzy. Wsród tego chaosu ognia i dymu zabrzmiał spokojny i opanowany głos jednego z oficerów: "Nieprzejmować się. Skakać z okrętu w kierunku na wyspę Ford".Wielu spośród tej dwudziestki marynarzy wyratowanych z wieży było ciężko poranionych i oparzonych. Ale opanowanie dowódcy przywróciło im spokój. Bez śladu paniki, spokojnie wynonywali rozkazy tego oficera, który nie próbował nawet szukać ochrony przed pociskami japońskich lotników. Ciężej rannych ładowano do łodzi ratunkowych, a kiedy już prawie wszyscy byli poza burtą jeden z marynarzy zapytał oficera czy i on nie opuści statku. "Dopiero wtedy kiedy Japończycy odejdą" - brzmiała odpowiedź.I rzeczywiście kiedy nalot się skończył, a ostatnia łódź przepełniona rannymi odbiła od okrętu, wówczas oficer skoczył do wody i popłynął do brzegu.

Podobne sceny działy się na wszystkich statkach ugodzonych i uszkodzonych czy zatopionych przez nieprzyjacielskie bomby. Ludzie ratowali się od płomieni skokiem do wody. Na jednym z okrętów akcją ratunkową i ewakuowaniem rannych kierował kapelan okrętowy. Kiedy przyszła jego kolej było już zapóźno. Już nie mógł wydobyć się z płomieni. Zdołał tylko zawołać: "Nie czekajcie na mnie". Na innym znowu statku nalot japoński zastał jednego z chłopców okrętowych wspinającego się na drabinę.Skutek wybuchu był taki, że ciało chłopca zostało dosłownie wplecione w żelazną drabinę, która przecięła je na tyle części ile było szczebli. Na tym samym okręcie murzyn, służący kasynowy, który nigdy przedtem nie miał z bronią do czynienia, dorwał się karabinu maszynowego i prażył z niego Japończyków aż do wyczerpania amunicji.

Oczywiście straty w ciągu uderzenia nie były tylko jednostronne. Jeden z amerykańskich kontrtorpedowców po zestrzeleniu 4 samolotów japońskich,uchwycił przez apa-

rat podsłuchowy szmery pobliskiej łodzi podwodnej. Dwa granaty głębinowe zrzucone z kontrtorpedowca wystarczyły. Po krótkiej chwili duża plama oliwy i bańki z powietrza, które ukazały się na przestrzeni około 50 metrów, świadczyły o zniszczeniu podwodnego napastnika. Ale już w krótki czas potem podsłuch wykazał nową łódź podwodną, kierującą się w stronę pobliskiego krążownika. Kontrtorpedowiec wykonał gwałtowny manewr i rzucił dwa dalsze granaty głębinowe. Znowu plama oliwy. Druga łódź podwodna zatopiona.

Oficerowie i marynarze współpracowali **w doryweczo zorganizowanej** akcji ratowniczej. Na jednym z okrętów młody podchorąży zebrał garść ochotników z którymi chciał dotrzeć do zablokowanego ogniem magazynu amunicji. Akcja ratownicza pracowała w milczeniu, szybko, w ciągłym zagrożeniu wybuchu całego magazynu i wynosili poszczególne skrzynie amunicyjne na pokład. Wybuchła bomba i raniła podchorążego. Marynarze chcieli go ratować, ale nie pozwolił im na to mówiąc, że już zapóźno. Kazał im samym uciekać. Zginął na posterunku.

Jakiś młody chłopak,nowozaciężny **rekrut** armii amerykańskiej stał na brzegu z karabinem. Dotąd jeszcze nie przeszedł przeszkolenia strzeleckiego, ale **obeznany był ze strzelbą myśliwską.** Wycelował w nadlatujący bombowiec nurkujący i wypalił. O dziwo, samolot rozleciał się w powietrzu. Fachowcy tłomaczyli, że pocisk musiał uderzyć w zapalnik bomby, którą Japończyk miał umocowaną pod samolotem. To go zgubiło.

Na innym okręcie kapelan odprawiał ranne nabożeństwo.Nalot zastał go jeszcze w szatach liturgicznych. Kiedy posłyszał bomby japońskie, dzielny ksiądz podszedł do karabinu maszynowego i obsługiwał go przez cały czas póki wystarczyło amunicji.

Przekonaliśmy się wszyscy tej niedzieli w Honolulu, jak **mała jest różnica** pomiędzy żołnierzem a "cywilem" **podczas** wojny. Zaledwie rozpoczęło się bombardowanie,kiedy do pewnego biura stowarzyszenia lekarzy hawajskich nadszedł krótki meldunek telefoniczny: "Nalot na Pearl Harbour, konieczne ambulanse. Na miłość Boską spieszcie się". W ciągu 20 minut lekarze i ich pomocnicy załadowali 100 ambulansów przygotowanymi uprzednio przyborami ratowniczymi i noszami i znaleźli się na miejscu wypadków. Kobiety,pracujące w pomocniczej służbie samochodowej,dowoziły wszystkimi samochodami jakie się nawinęły, mężczyzn do Pearl Harbour. Szeroka, **trzytorowa** szosa

była przepełniona: wozy ciężarowe, samochody ratownicze, ochotnicze, ambulanse, wozy Czerwonego Krzyża, setki taksówek dowoziły oficerów i żołnierzy na pole ćwiczeń. Samochody po kilkadziesiąt razy przejeżdżały krótki 6-cio milowy odcinek szosy. Rannych żołnierzy przewożono do szpitala wojskowego. Jedna z bomb ugodziła w dużą salę kasynową gdzie 400 młodych lotników siedziało przy śniadaniu. Naczelny lekarz szpitala wojskowego rozesłał telefoniczne wezwania do wszystkich chirurgów o pomoc. I okazał się jeden z przedziwnych zbiegów okoliczności.W tej właśnie chwili dr John Moorhead z Nowego Yorku, sława chirurgiczna, miał odczyt którego słuchali niemal wszyscy chirurdzy w Honolulu. Całe audytorium pojechało na ratunek do szpitala. Nie koniec na tym. Na swoim wykładzie dr Moorhead demonstrował specjalny instrument chirurgiczny, który pozwalał na odszukanie metalu w ciele ludzkim. Instrument zdał egzamin praktyczny, bo oszczędzono setki cennych godzin,które by trzeba zużyć na prześwietlanie promieniami. Lżej chorych pacjentów ze szpitala morskiego ewakuowano pośpiesznie,aby opróżnić łóżka dla rannych podczas nalotu. Cały szereg młodych marynarzy stracił kończyny, setki było ciężko poparzonych. Nastrój tych biednych rannych był istotnie wspaniały. Zadnego zamieszania, żadnego krzyku czy jęków. Zamiast tego słyszało się takie uwagi, jak: "Proszę ostrożnie z tą nogą, mam ją złamaną w dwóch miejscach". W ciągu jednej godziny,chłopcy stali się dorosłymi mężczyznami - mężczyźni stali się bohaterami. Lekarz przechodził wzdłuż szeregu rannych na noszach,by wybrać tych, którzy wymagają natychmiastowego zabiegu. Wprawnym okiem odrazu rozpoznał tego rannego, którego trzeba natychmiast opatrzyć. Oto.młody chłopak, którego poparzona skóra odpadała niemal z górnej połowy ciała,wskazał na rannego, ale ten słabym głosem prosił go żeby wziął jego kolegę, który jeszcze bardziej cierpi.

Przez szereg długich dni każdego popołudnia chowano 3.000 zabitych podczas nalotu na Pearl Harbour. Pogrzeby odbywały się spokojnie, bez widzów, na każdym grobie umieszczono bukiet kwiatów. Pluton żołnierzy oddawał 3 salwy honorowe. Tak grzebano tych, którzy polegli za wolność.



Co czytać ?

Od dłuższego już czasu zaniedbywaliśmy w naszym tygodniu rubrykę "Co Czytać".Z tym większą przyjemnością zamieszczamy artykuł oryginalny,udzielony nam życzliwie przez autora JANA REMBIELINSKIEGO na temat wydanej niedawno książki p.t."WRACAMY NAD ODRE". Uwagi p.Rembielińskiego są powtórzeniem jego radiowej pogadanki wygłoszonej niedawno. Przypuszczamy, że recenzja ta wzbudzi zainteresowanie naszych Czytelników tą ciekawą, niecodziennej wartości książką.

W czasie,gdy na terenie Polski wszelka twórczość kulturalna i naukowa jest zakazana i tępiona, żyje ona, a nawet wzbogaca się nowym dorobkiem na emigracji. Zjawisko to nie po raz pierwszy zresztą powtarza się już w naszych dziejach: swą wolę trwania stwierdza naród polski nie tylko walką orężną na polach bitew, ale i pomnażaniem wkładu swej myśli twórczej na polu badań naukowych. Przebogate zasoby materiałów, zgromadzone w bibliotekach Anglii, ze słynnym Muzeum Brytyjskim na czele, pozwalają nawet badaczom historii Polski kontynuować pracę swą mimo braku dostępu do źródeł krajowych.

Takim cennym wkładem do naszej historiografii jest wydana ostatnio w Londynie książka młodego uczonego, ukrywającego się pod pseudonimem: Adam Błoński, pt. "Wracamy nad Odrę". Wbrew tytułowi, który kazałby przypuszczać treść raczej polityczno-propagandową,rzecz ma wyraźnie charakter naukowy i jako taka właśnie, przynosi rewizję wielu utartych, a niezgodnych z prawdą dziejową mniemań.

Tak więc np. i w świecie i wśród nas samych również,często mówiło się w ciągu ostatnich lat pięćdziesięciu o "cudzie" odrodzenia Śląska, jego powrotu do narodowości polskiej po siedemsetletnim rozdziale. Praca Błońskiego uświadamia i przekonywa, że zjawisko nie było może tak "cudowne", bowiem ów rozdział nigdy nie był kompletny i więź duchowa nigdy nie była całkiem przecięta.Za Jagiellonów np. piastowscy książęta śląscy ponawiali stale zapewnienia wierności Polsce, "granica polityczna, jaka dzieliła Śląsk i Polskę, była właściwie teoretycz-

na", zwłaszcza gdy w Czechach objął tron Władysław Jagiellończyk, który księstwa Opawskie i Głogowskie nadał swym braciom, późniejszym królom polskim, Olbrachtowi i Zygmuntowi Staremu, rządzącemu tam jako "Najwyższy Haytman a sprawca Górnego i Dolnego Śląska". Związek ten utrzymywał się dalej, za Wazów, i nie bez wzruszenia ogląda się reprodukowane w książce Błońskiego "monety śląskie Władysława IV i Jana Kazimierza, królów polskich, książąt na Opolu i Raciborzu w latach 1645 - 1660."

Podobnież i nad dolnym biegiem Odry, na Pomorzu Szczecińskim, historyczna więź z Polską była trwalsza i mocniejsza, niż to się często ignorancko przypuszcza. Nie tylko przypomnieć warto, że w najstarszym naszym akcie dyplomatycznym "Dagome iudex" z roku 992, w opisie Polski ówczesnej jedynym grodem wymienionym jest - Szczecin, ale to przedewszystkim należy mieć w pamięci, że "Pomorze Zachodnie ze Szczecinem, Kołobrzegiem, wyspami Rugią, Usedom i Wolinem było w posiadaniu Polski", następnie zaś "książęcego domu tej samej krwi piastowskiej, związanego z polską dynastią Piastów i Jagiellonów przez lat 800", t.zn. aż do bezpotomnej śmierci ostatniego księcia, Bogusława XIV w r.1637. W skład Prus tereny te weszły dopiero od roku 1720, częściowo nawet od roku 1815, a zatem po Kongresie Wiedeńskim.

Zasługą książki Antoniego Błońskiego jest właśnie uprzytomnienie - przez zestawienie szeregu zapomnianych, lub mało znanych faktów i dokumentów - trwałego związku z Polską Śląska nie tylko Górnego, lecz i Dolnego, Ziemi Lubuskiej, Pomorza Zachodniego, Prus Książęcych. Z kart owej książki więź ta woła ku nam nie jedynie odległym jakimś echem prawieku, ale współdźwiękiem stałym, poprzez cały ciąg naszych dziejów, od zarania ich aż po dzień dzisiejszy.



Kluby.

Kluby są jedną z najbardziej charakterystycznych instytucyji życia brytyjskiego. Nie są one najłatwiej dostrzegalne, bo życie klubowe dostępne jest dla członków i dla nielicznych,przez nich wprowadzonych gości. Ale samo istnienie klubów, samo ich powstanie jest niewątpliwie poważnym przyczynkiem do charakterystyki umysłowości angielskiej. Słowo klub znalazło obywatelstwo w językach kontynentalnych, mówi się o"fotelu klubowym", mówi się o "klubowej atmosferze", ale zdaje się, że nigdzie na kontynencie kluby nie przejęły specjalnego brytyjskiego nastroju, specjalnego systemu życia. Oczywiście mówimy o klubach męskich, t.j. takich do których pod żadnym warunkiem kobietom nie wolno wejść. Na zupełnie innym poziomie są kluby towarzyskie, dostępne zarówno dla kobiet, jak i dla mężczyzn. Te mają charakter bardziej międzynarodowy a stanowczo mniej intymny. Niewiadomo czy instytucja klubów zdoła przetrwać obecną wojnę.Anlicy są co do tego raczej optymistyczni.Posłuchajmy co pisze o klubach w najnowszym numerze,wielokrotnie przez nas cytowanego wydawnictwa BRITAIN OF TO-DAY, Arnold PALMER. Artykuł jego ukazał się pod tytułem "AROUND OF CLUBS" w nr 76/42, str.21.Wydawnictwo BRITAIN OF TO DAY jest naszym Czytelnikom dobrze znane.Korzystaliśmy z niego kilkakrotnie,streszczając artykuły dotyczące instytucji specyficznie brytyjskich.Ostatnio zaś zamieściliśmy szereg streszczeń na temat szkolnictwa i wychowania brytyjskiego.

Powszechnie wiadomo, że prawdziwy Londyńczyk woli raczej zjeść obiad w swym klubie, niż przyjąć jakieś zaproszenie. Ta cecha zrosła się już z Londyńczykami i wszyscy

do tego przywykli. Wprawdzie kluby istnieją w każdym niemal mieście na całym szerokim świecie. Wprawdzie niejeden z tych klubów zagranicznych jest bardziej nowoczesny i wspanialszy niż nasze nieraz staromodne pomieszczenia o wytartych stopniach schodów po których chodzą praprawnukowie pierwotnych członków założycieli. Ale nie da się zaprzeczyć, że właśnie te kluby angielskie są oryginalnymi wzorami. Najdawniejsze kluby zostały stworzone przez londyńczyków i spora ilość tych dawnych klubów istnieje do dzisiaj dnia. Początek ich sięga niejednokrotnie końca XVII wieku, kiedy to drobne grupy przyjaciół zwykły były spotykać się w jakiejś kawiarni dla omawiania wydarzeń politycznych, literatury, czy też innych tematów,w których byli razem zainteresowani. Niektóre z tych przygodnych a potem regularnych zebrań przyjacielskich tak dalece zdobyły sobie popularność,że normalni t.j. dorywczo zachodzący klijenci kawiarni nie mogli w niej znaleźć miejsca. Następstwem tego było,że członkowie uczestnicy tych zebrań wyszukiwali sobie własne pomieszczenia. Te zgromadzenia, które odbywały się raz na tydzień, czy raz na miesiąc, stanowiły wspólną cechę życia w Londynie. Wiele z tych klubów nie przetrwało próby czasu i zaginęło zupełnie. Inne znowu rozmyślnie nie dopuszczały do powiększenia ilości uczestników, ale nie jeden coraz to bardziej zyskiwał znaczenie, W końcu wynajmowano osobny dom, zainstalowano windę, zorganizowano stałą obsługę i powstawał klub w dzisiejszym tego słowa znaczeniu. Niewiem osobiście o żadnym wypadku,żeby którykolwiek z klubów przejął lokal tej kawiarni,z której wywodził swój początek.

Jeśli mieszkaniec Londynu mówi o "swoim klubie" zawsze ma na myśli klub męski. Jeśli należy także do klubu mieszanego t.zn. dopuszczającego i udział kobiet, wówczas wspomina o tym z uśmiechem pełnym wyrozumiałości dla samego siebie. Zapraszając na lunch doda niewątpliwie, że jest to jeden z tych "mieszanych" klubów. Sytuacja wymaga, żeby na to odpowiedzieć "a to z pewnością będzie bardzo wesoło", albo też "a, to będzie napewno doskonała kuchnia". Ani pierwsza, ani druga opinia niema najmniejszej podstawy słuszności, ale przecież wypada przyjacielowi ulżyć w jego kłopocie. Jeśli jednak londyńczyk zapraszając nie ostrzeże, że chodzi o klub mieszany, jeśli wykorzystuje twoją nieświadomość aby cię wciągnąć do takiej właśnie instytucji i nazywa ją swoim klubem, to porzuć tę znajomość, ten człowiek nie zasługuje na to,żeby nazywać się londyńczykiem.

Trudno znaleźć dwóch ludzi którzyby się zgodzili, który klub jest najlepszy. Ale napewno nie trudno będzie zna-

leźć takich, którzy zgodnie powiedzą, który klub uchodzi za najgorszy. Pomimo tej rozbieżności opinii co do dobroci klubu jest kilka, które-możemy to powiedzieć- mają więcej znaczenia i lepszą markę niż inne. "Atheneum", "Carlton" i"Reform". Dwa ostatnie mają wybitne powiązania z dawnymi, starymi partiami politycznymi. Natomiast "Atheneum" powstał jako klub apolityczny w r.1824. Założycielami jego byli Sir Walter Scott i Tomasz Moor. Do dzisiaj dnia należą do niego ludzie, którzy "wybijają się na polu sztuki lub nauki, artyści wybitni i gentlemani,będący opiekunami nauki, literatury i sztuki". Ale oprócz tego należą tutaj biskupi, członkowie rządu, wysocy urzędnicy państwowi. Sporo jest w nim profesorów, wielu emerytowanych ambasadorów. O klubie tym każdy opowiada pocieszne historie, ale jego wysoki poziom intelektualny i piękne pomieszczenia są wysoko cenione.Krótko mówiąc jeżeli istnieje w Londynie "najlepszy klub" przypuszczam, że to właśnie "Atheneum". W każdym razie znałem kiedyś człowieka, który wystąpił z klubu "Atheneum" tylko dlatego, bo uważał, że najlepszy klub jest dla niego za dobry.

Te trzy kluby mieszczą się na Pall Mall, która uchodzi za ulicę klubową. Oprócz nich mieszczą się tam jeszcze "United Service", "United University", "Travellers", "Junior Carlton" i "Malborough". Jest tam inny klub bardzo mały, który można nazwać "najlepszym" ponieważ członkowie jego rekrutują się głównie z otoczenia dworu królewskiego,"Oxford & Cambridge","Army & Navy". Ale cały szereg innych klubów mieści się w pobliżu, głównie na północ i na zachód od Pall Mall. Drugim zbiorowiskiem klubów jest okolica St.James Street. Tu trzeba wymienić Boodle's i Brooks's, które konkurują ze sobą co do dawności pochodzenia i ekskluzywności. Nieco wyżej jest White's. White's założony został w r.1693 i był pierwotnie"czekoladziarnią". Dwa poprzednio wymienione kluby powstały,jak mi się zdaje w kawiarni tej samej nazwy. Nie tak dawno jeszcze należało do szyku wśród członków klubu White's,jeść obiad w sztywnym melonie. Niedawniej niż w 1938 roku widziałem jeszcze jednego z członków klubu, który przy stole siedział właśnie w takim kapeluszu. Mam nadzieję, że jeszcze ciągle to robi. Nie ręcze jednak, bo zwyczaje przecież się zmieniają.

Kluby różnią się pomiędzy sobą pomimo wielu wspólnych cech. Różnią się dlatego bo członkowie z różnych powodów zbierali się razem. Jedni dlatego bo mieli wspólne przekonania polityczne, innych łączył zawód, innych

wreszcie umiłowanie wyścigów konnych czy też zainteresowania kolonialne, nauka, sztuka, wspólne wychowanie w szkołach, upodobanie do spokoju, ciszy, zamiłowanie do dobrego jadła i napitku. Ale pomimo tych różnic,kluby mają bardzo wiele cech wspólnych. Wszystkie odznaczają się dużymi, przestronnymi pomieszczeniami, bardzo wygodnymi krzesłami, fotelami oraz abonowaniem conajmniej połowy ze wszystkich istniejących wydawnictw periodycznych. Wszystkie albo przynajmniej prawie wszystkie miały dobre piwnice, dobrą kuchnię a zwłaszcza dobre zimne potrawy. W tej dziedzinie żaden klub mieszany,t.zn. dopuszczający kobiety nie doszedł do poziomu klubów męskich. Kluby mają oczywiście pokoje bilardowe, karciarnie, sypialnie, łazienki i biblioteki.

Niektóre z bibliotek jak np.klubu "Atheneum" czy "Reform" są bardzo poważne. Na czele ich stoi jakiś znany bibliofil. Inne mają charakter bardziej klubowy a często są zupełnie zaniedbane.

Kluby londyńskie mają specjalną atmosferę. Atmosferę solenności, bardzo męczącą nawet tych wszystkich,którzy naogół lubią uroczystości czy powagę. Trzeba przyznać, że bardzo nie wielu członków klubu lubi zmieniać charakter klubu, raczej mają więcej nawet uznania i sentymentu do starodawności atmosfery klubowej niż to mieli ich ojcowie. A jednak w ciągu ostatnich lat kluby chyliły się raczej ku upadkowi.

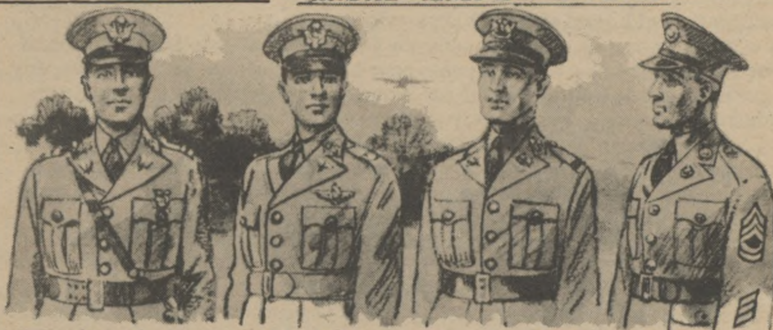
Kluby natrafiły na trudność zdobycia nowych członków. Młode pokolenie jakoś nie miało zupełnie zamiaru zapisywania się. Nie można o to winić wojny. Wojna przeciwnie przez zniszczenie i zbombardowanie kilku klubów raczej zmniejszyła konkurencję. Powody leżą gdzieindziej. Oto w ciągu ostatnich dwóch dziesięcioleci młodzi ludzie albo nie mogli, albo też nie chcieli płacić bardzo wysokich stawek za wpisowe do klubu i poważnych także /sięgających do 15 gwinei rocznie/ składek.Członkowie którzy lubują się w dobrej kuchni, cenią wykwintne i smaczne pożywienie,odbijali sobie poniekąd te wysokie składki tanimi stosunkowo posiłkami w klubie.Ale młodzi ludzie naogół nie dbają o to,a mając do wyboru lunch we własnym klubie czy też przygodnie zjedzoną kanapkę, czy zakąskę z jakąś miłą, młodą kobietą - wybierali publiczne jadłodajnie. Ponadto powstały nowe kluby, urządzone nowocześnie,mające korty tenisowe, pływalnie, fryzierów, kwiaciarnie, sale taneczne i co najważniejsza otwierały członkostwo także i dla kobiet spokrewnionych z członkami. To wszystko za stosunkowo

niewielką składką. Okazało się bowiem w co starsze kluby początkowo nie chciały wierzyć, że przez powiększenie ilości członków można znacznie zmniejszyć koszty uczestnictwa. Członkowie starych klubów z prawdziwym zdumieniem widzieli, że młodzi ludzie wolą często nie znaleźć we własnym klubie pomieszczenia, często nie znaleźć wolnego krzesła czy stołu, a za to mieć urządzenia nowoczesne. Stare kluby podzieliły się na dwa obozy: jedne konsekwentnie trzymały się dawnych zasad, inne poczęły urządzać dodatkowe sale, dodatkowe jadalnie z bocznem wejściem przez które mogły przejść kobiety, wynajmowały w innych częściach miasta korty tenisowe czy starały się o inne rozrywki.

Taki był stan rzeczy u progu obecnej wojny. Czy kluby przetrwają wojnę trudno na to pytanie odpowiedzieć. Ale większość Anglików potrafi odpowiedzieć sobie na to w duchu.

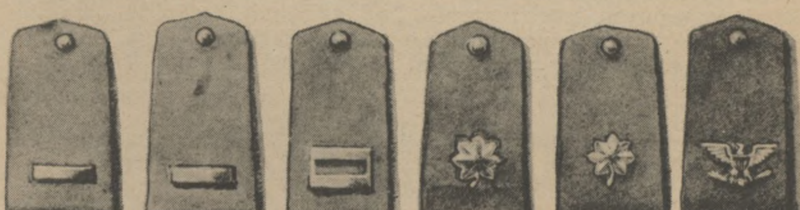
ciąg dalszy ze str.694.

MUNDURY ARMII AMERYKANSKIEJ.



oficer | oficer lotn. | chorąży /W.O./ | podoficer

OZNAKI STOPNI OFICERSKICH J.S.A.



złote ppor. | srebrne por. | srebrne kapitan | złote major | srebrne ppłk. | srebrne płk.

/THE ILLUSTR.LONDON NEWS/

Siły powietrzne a zwycięstwo.

/Jotes/

Jedna z najbardziej szczerych i ciekawych książek, opublikowana została w Ameryce przed paru tygodniami. Tytuł jej: THE COMMING BATTLE OF GERMANY", a autorem jej jest William ZIFF, doskonały znawca broni lotniczej i od dłuższego czasu redaktor technicznych wydawnictw, opracowujących ten właśnie dział. Argumenty jego, dotyczące akcji ofensywnej, idą jeszcze dalej niż uprzednio przedstawione tak wymownie przez takich speców, jak mjr.Seversky i płk.W.F.Kernan. Wiele z tego co napisał, oparte zostało na studiach, przeprowadzonych na R.A.F. w ciągu trzechmiesięcznego objazdu W.Brytanii. Jako gorący wyznawca rewolucyjnych wprost możliwości sił powietrznych, twierdzi on z naciskiem, iż jest to jedyna broń, która mogłaby natychmiastowo pomóc Rosji, a następnie powalić na kolana najpierw Niemcy, a potem Japonię. Nastaje on na bezwłoczne utworzenie "Drugiego Frontu" w formie, którą nazywa "prostopadłe inwestowanie okupowanej przez Niemcy Europy". Stwierdza on przytem, iż każda próba inwazji bez przytłaczającej przewagi powietrznej musi skończyć się klęską. Nasze streszczenie nie jest, niestety, oparte na oryginale książki, ale na obszernej recenzji, która ukazała się niedawno w poczytnym angielskim dzienniku "THE DAILY TELEGRAPH".



UZYWAJMY CO MAMY. W tej rewelacyjnej książce wszystko dotyczące siły powietrznej jest tematem centralnym, ale też i inne rodzaje akcji wojennej otwarcie są dyskutowane. Autor przynagla do stworzenia połączonego dowództwa i przeprowadzania awansów wg systemu brytyjskiego, t.j. opartego na zasługach. Rozprawia się krótko z takimi wojennymi problemami, jak surowce i wojna psychologiczna i w każdym punkcie przeprowadza tezy, mające poważny związek z wypadkami wojennymi niemal każdego dnia.

Brygadier emerytowany gen.William Gillmore, b.zastępca Dowódcy Lotnictwa St.Zjedn. napisał w przedmowie : "Zaden z ekspertów nie zgodzi się w 100 % z tym co mówi Ziff, ale ta książka jest dynamitem i to dynamitem niezbędnym do wygrania wojny. Jest to jedno z najpoważniejszych dzieł, wydanych podczas jej trwania".

Autor stwierdza, że nawet dzisiaj Amerykanie nie biorą jeszcze tej wojny na serio. "Musimy się nauczyć używać materiały, wojsko i ekwipunek, które mamy do dyspozycji t e r a z, aby potem móc przeprowadzić zwycięską ofensywę. Niedobrze jest wierzyć, że czas pracuje na nas. Nie możemy prowadzić akcji odwlekającej i ciągle wycofywać się z naszych pozycji naokoło globu ziemskiego dla zyskania na czasie i przemieniania naszego potężnego potencjału przemysłowego na przyduszającą potęgę, która ma wygrać wojnę samym tylko ciężarem cyfr. Wiele już naszych maszyn, czołgów i samolotów jest prawie niezdatnych do prowadzenia wojny w dzisiejszych warunkach operacyjnych. W warunkach przyszłych będą one niezdatne zupełnie. Jeżeli osiągniemy ogromną wydajność ulepszonego oręża,który dziś zaprojektowaliśmy, utrata starzejącego się ekwipunku nie będzie dla nas niebezpieczną".

GROZBA IZOLACJI ST.ZJEDNOCZONYCH. Analizując wielką strategię Osi, autor twierdzi, że pragnie ona odizolować Amerykę od reszty świata przez zmuszenie do prowadzenia polityki defenzywnej i budowania ogromnej armii, której nie będzie ona w stanie wysłać poza swój kontynent lub w najlepszym razie rozproszy ją po wszystkich kontynentach. Dowodzi dalej, że Ameryka już teraz jest krajem, któremu brakuje tak ważnych własnych surowców, jakimi są guma, jedwab i niektóre podstawowe metale i że ten dławiący proces nabierać będzie na sile w miarę dalszych zwycięstw Osi. "Jeżeli zamierzenia Osi się powiodą przez zawładnięcie krajami Wielkiej Eurazji, Afryki i na Oceanie Spokojnym",autor konkluduje,"marzenia o pobiciu ich na polu przemysłowym staną się fantazją".

Trzymając się tezy, iż Niemcy są w tej chwili wrogiem Nr.1, autor rozpatruje możliwości zwyciężenia ich,przyczem przychodzi do wniosku, iż dla dokonania tego, koalicja musi rozporządzać ośmio milionową armią, świetnie i nowocześnie wyekwipowaną i posiadającą na zapleczu ogromne rezerwy w ekwipunku i materiałach. Jeżeli inwazja Europy zostanie przeprowadzona, autor jest zdania, iż wszelkie prerogatywy znajdują się po stronie niemieckiej. Armia inwazyjna spotka na swej drodze przeciwnika uzbrojonego po zęby najbardziej nowoczesnym ekwipunkiem, działającym z ustalonych wewnątrz baz,pozwalających uderzać z nieprawdopodobną szybkością i siłą w każdy punkt obwodu, z którego koalicja zapoczątkuje swe działania.

OGRANICZONE GRANICE LADOWANIA. Autor twierdzi, iż lądowanie w Norwegii lub Italii byłoby największym szaleń-

stwem. Europa jest przez Niemców dobrze umocniona. Nie można obrażać się na autora za jego przypuszczenie możliwości poniesienia klęski. Historia wojen dobitnie wykazuje, iż połowa ofensyw kończyła się klęską i jest pewne, iż będzie ich w przyszłości więcej. Autor przypomina klęskę "Luftwaffe" po zaatakowaniu W.Brytanii i w elokwentnym rozdziale opowiada o tej bohaterskiej walce. "Nie trzeba posiadać wielkiej imaginacji, aby widzieć, jak wielki dług wdzięczności powinien spłacić każdy Amerykanin niewielu tysiącom młodych Brytyjczyków, którzy zatrzymali i uniemożliwili inwazję barbarzyńców do Południowej Anglii i Walii." Powyższa walka pokazała dobitnie iżbez panowania w powietrzu niemożliwem jest przekroczenie tego rodzaju przeszkody,jaką jest kanał La Manche. Norwegia też potwierdziła powyższą tezę, iż bez ochrony powietrznej wszelkie lądowanie musi skończyć się klęską. Wyspa Midway pokazała ostatnio,co może zdziałać eskadra powietrzna przeciw atakującej armadzie. Autor uważa, iż tylko ogromne zasoby przemysłowe Stanów Zjednoczonych oddaliły w tym roku bliskie zwycięstwo "Luftwaffe". Wierzy on w to, iż potęga ta powinna jaknajprędzej wejść w akcję i w ten sposób pomoc Rosji, gdy jeszcze nie jest zapóźno. Droga do uderzenia Niemiec w samo serce jest wolna i prowadzi ona przez otwarte przestrzenie powietrzne.

FLOTA WOJENNA NIEBA. Dla przeprowadzenia akcji powietrznej na gigantyczną skalę, koalicja posiada pierwszorzędny atut: jest nim wysunięta pod samą Europą baza na Wyspach Brytyjskich. Autor robi świetne porównanie, twierdząc,iż gdyby Niemcy posiadali Long Island i Kubę, nie tracili by czasu nadaremnie i z tych baz bombardowali by bez wytchnienia kluczowe amerykańskie centra przemysłowe. Nazywa on Wyspy Brytyjskie nietonącymi lotniskowcami,chronionymi mocno przez R.A.F. o której Sir Archibald Sinclair mówił autorowi w roku ubiegłym, iż przewyższa ona "Luftwaffe" pod każdym względem, ilościowo i jakościowo.

Ażeby doprowadzić do tego rodzaju rozwiązania, autor nalega ażeby Ameryka budowała cztero-motorowe bombowce, a W.Brytania ograniczyła się do budowy li tylko pościgowców. Fabryki amerykańskie osiągną w ciągu roku wydajność wielu tysięcy samolotów miesięcznie. Rozumie się wypuszczone aparaty muszą iść natychmiast do walki i to przeciw samym Niemcom w pierwszym rzędzie. "Musimy dojść do tego, ażebyśmy byli w stanie wysyłać bez przerwy 5.000 bombowców, wagi 300 ton każdy, o szybkości 400 mil na godzinę. Czy tę cyfrę osiągniemy, czy nie, nie jest ważne. Ważne jest to, abyśmy do tego dążyli".

Powietrzna flota wojenna tej wielkości mogąca pozwolić sobie nawet na utratę 2500 samolotów miesięcznie będzie przedstawiać siłę, zdolną do przeprowadzenia takiej akcji, iż użycie innych broni potrzebne będzie tylko dla sfinalizowania wojny. W ten sposób stworzono by Drugi Front w Europie, który świetnie współdziałałby z lądową akcją w Rosji.

Bardzo szczegółowo autor roztrząsa rezultaty brytyjskiego bombardowania i uważa, iż teraźniejsza akcja jest zapoczątkowaniem przeprowadzania jego tezy. Wielki nacisk kładzie na skoncentrowanie wysiłku dla zniszczenia słabo bronionego systemu komunikacyjnego. Zgłębia on pożyteczność jednoczesnego prowadzenia bezlitosnej akcji psychologicznej przeciwko Niemcom i Japończykom, w sposób dotąd nie praktykowany. Wierzy, że Niemców wyczerpie bardziej strach przed przyszłością, niż jakiekolwiek zapewnienia bezpieczeństwa i dobrobytu w razie,jeżeli skapitulują. Rzucanie odpowiednich ulotek, audycje radiowe i piąta kolumna winny pogłębiać ten strach jak najusilniej.

Nastając na posiadanie towarowych samolotów twierdzi, iż mogły by one zastąpić doskonale zatapiane przez łodzie podwodne parowce. Dla podtrzymania wiary w jego twierdzenia, przytacza on uwagi dwóch brytyjskich autorytetów: Lorda Brabazona, który rzekł: "Nasze czołgi przejdą spacerem przez Europę, jeżeli oczyścimy powietrze" oraz Marszałka Sił Powietrznych Sir Sholto-Douglasa, twierdzącego: "Wojna zostanie wygrana wtedy, gdy będziemy w możliwości przeprowadzić zwycięsko inwazję na Kontynent". W międzyczasie jednak Ameryka powinna przesyłać swoje maszyny i uzbrojenie z własną załogą,która pójdzie do pierwszej walki, stwierdzając, iż tego rodzaju udział,da więcej pożytku niż najwyższe sumy aktu "Lend Lease".

SWOBODA SIŁY POWIETRZNEJ. Na zakończenie swej książki, autor w sposób bardzo interesujący przedstawia plan,jak należałoby rozwiązać kwestie organizacyjne sił zbrojnych oraz kwestię dowództwa. Pisarz wierzy w tezę, iż potrzeby zbrojne Stanów Zjednoczonych dało by się ograniczyć stworzeniem dwumilionowej armii uzbrojonej i wyćwiczonej na wzór "Commandosów". Poza tym jest on zwolennikiem niezależnej siły powietrznej na wzór brytyjskiej. Działalność "RAF Costal Command" przytoczona jest w książce,jako wzór wspaniałego współdziałania z innymi rodzajami broni, godny naśladowania, uważając przytem, iż generałowie i admirałowie nigdy nie potrafią

użyć odpowiednio przydzielonych bezpośrednio sił powietrznych. Siła powietrzna musi narówni z armią i marynarką posiadać swe miejsce w Radzie Wojennej, aby móc bronić swych praw i wprowadzać w życie swe ogromne możliwości.

Co dotyczy dowództwa, cały wysiłek wojenny musi spoczywać na barkach Prezydenta i Kongresu, uważając, iż Zjednoczone Narody też powinny wyznaczyć Naczelnego Kierownika wszystkich przedsięwzięć. Jako osobę sugeruje on gen.de Gaulle, przedstawiającego sobą najbardziej odpowiedniego człowieka na to stanowisko.

Brytyjskie sfery dziennikarskie uważają opublikowanie tej książki za zdrowy znak, wskazujący na to, iż amerykańska opinia publiczna pragnie przeprowadzenia energicznej i jaknajdalej posuniętej aktywności.

WYŻSZY KURS HANDLOWY.

Kierownictwo Wyższego Kursu Handlowego w Glasgow zawiadamia, że przyjmuje wpisy na jednoroczny Wyższy Kurs Handlowy, rozpoczynający się w dniu 15.września b.r. Na W.K.H. może być przyjęta każda osoba bez różnicy płci i wieku, jeżeli wykaże się ukończeniem:
a/średniej szkoły ogólnokształcącej starego typu,
b/liceum ogólnokształcącego lub zawodowego nowego typu,
c/innego zakładu uznanego za równorzędny.
Nauka na W.K.H. jest bezpłatna. Zgłoszenia przyjmuje oraz bliższych informacji udziela Ośrodek Korespondencyjnego Kursu Handlowego, 6 Crown Circus, Glasgow, W.2.

Humor..

NOWOCZESNA ŁACZNOSC.



"-Uwaga ! Kapitan kazał przewać ogień !"/MEN ONLY/

POWOD.



-"Przybyłem tutaj przed czternastu laty aby napisać powieść. Niestety - nie wziąłem z sobą papieru do pisania ..."/PUNCH/



NADZWYCZAJNA OKOLICZNOSC.



-"Proszę o udzielenie 3-dniowego urlopu okolicznościowego. Otrzymałem właśnie zaległą pocztę." /PUNCH/

PIESN BEZ SŁOW.



/"BEHIND THE SPITFIRES"/
rys. RAFF.

NIE TO SAMO.



TRADYCJA RODZINNA.



-"Wszyscy z naszej rodziny służyli zawsze w kawalerii. Dopiero wuj Alfred sprzeniewierzył się tej rodzinnej tradycji i dał się zmechanizować." /MEN ONLY/

MA HONOR.



"Ale mój mąż nie użyłby za nic w świecie tych pieniędzy na inny cel niż na podatek dochodowy./PUNCH/



Published by Dr Stefan Kossak, Edinburgh.
Printed by The Munro Press, Limited, Perth.